

Henryk Nowogródzki

Dystans i perspektywa

Palestra 21/10(238), 70-73

1977

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

ich, w tym ograniczonym wymiarze, przyniosło dzisiaj ulgę mnie samemu, gdy wcześniej przyprawiało o bezsenne noce. Moje myśli wobec teorii Freuda i innych sławnych psychoanalityków są być może niemowlęce, gdyby jednak zostały uznane za trafne choćby w minimalnym stopniu, a przy tym wsparte doświadczeniami każdego z nas, to powstałaby *quasi*-wzajemna pomoc, bez potrzeby przy tym sięgania aż do głębin zagadki bytu.

Wyłonić się może pytanie, dlaczego zająłem się kłopotami nerwowymi czy też psychicznymi, związanymi wyłącznie z pracą adwokata, nie wspominając o tym, że są one przeżywane i w innych zawodach, choćby tylko prawniczych, powodowane niekiedy i przez adwokatów. Odpowiedź jest prosta. Sam jestem adwokatem i znam nasze przeżycia nerwowe i psychiczne, a także ich przyczyny. O innych zawodach niechaj piszą inni, nie szczędząc, gdy zajdzie potrzeba, i adwokatów.

Wreszcie, moje wywody powstały na tle zwierzeń adwokata.

2.

HENRYK NOWOGRÓDZKI

Dystans i perspektywa

W majowym numerze „Palestry” Edmund Mazur napisał: „Zagonieni sprawami, przytłoczeni codziennym młynem sprawiedliwości — nie zawsze mamy czas i ochotę na rozmyślanie o sensie tego, co robimy, na refleksje o życiu i o naszym w nim miejscu. Czasami jednak przy sprzyjających okolicznościach albo w czasie »białej nocy« oświetlamy te ukryte doświadczenia, wiążemy ze sobą fakty i próbujemy wyciągnąć wnioski, i to zarówno wnioski najbardziej osobiste jak i ogólniejszej natury”.

Esej Edmunda Mazura jest mi szczególnie bliski. Piszemy w rubryce „Między nami”, której cechą szczególną i wyróżniającą jest osobiste, głęboko własne przeżycie jej autorów, wyrastające i wynikające właśnie z adwokackiego życia. Zastanawiałem się nieraz, czy szczerść tych refleksji i rozmyślań nie przeradza się w psychiczny, duchowy ekshibicjonizm. Myślę, że tak nie jest. Że otwartość tej rubryki raz jeszcze podkreśla nasze koleżeństwo, naszą wspólność, nawet intymność, naszą wyrozumiałość dla niekiedy takich zjawisk i postaw, które nie wywołują ani akceptacji, ani aprobaty. Każdy z nas przeżywa owe „białe noce”, niepokoję bezsenności, którym dobroczynna chemia zawarta w tabletkach kładzie dopiero kres. Bezsenność i rozmyślanie o sprawie, w której mamy jutro stawać. Jutro? Już dziś, bo za oknem zaczyna świtać, za parę godzin padnie z ust przewodniczącego sakramentalne: „Udzielam głosu panu obrońcy” — i trzeba mówić. Ale jeszcze zanim dobroczynna tabletki przeniesie nas w łagodność krótkiego niebytu, kłębią się myśli, koncepcje, argumenty.

Cicho, aby nikogo nie zbudzić, w bladym świetle lampki nocnej, nie zapalając kinkiету, szukamy na regałach potrzebnej książki, orzeczenia, opinii.

Na biurku rozkładamy kartki i zapisujemy myśli, refleksje, nieraz całe zdania, całe sformułowania.

Bywa przecież tak, że noc nie znosi konfrontacji z porankiem. To, co zostało w nocy zapisane, w świetle poranka jawi się jako bezużyteczne, nieprzydatne, mdłe.

Są jednak i takie „białe noce” — i chwała wtedy bezsenności! — kiedy zapis w świetle lampki nocnej żyje i trwa, nie zbladł i nie zbladł. Jest! Jest to słowo, słowo-pomocnik, słowo nośne i celne. Argument rzeczowy i trafny, teza — koło ratunkowe, opinia cytat — sama radość.

Gdy więc usłyszymy: „Udzielam panu głosu”, ten głos, zrazu nieco zachrypnięty, zwolna emitowany z narastającą pewnością rozbrzmiewa siłą przekonania, wiary w słuszność naszej sprawy. Ach, ta radość sukcesu, świadomość przyczynienia się do sądowego rozstrzygnięcia, to zwolna ustępujące przyspieszone bicie serca, ta niecierpliwość serca oczekującego na ogłoszenie wyroku.

Porażki są częstsze od sukcesów. Ale sukces je jakby wymazuje, usuwa i pograża w cieniu. Sukces jest słońcem. Sukces przypina nam ostrogi, dodaje skrzydeł i miniona „biała noc” jest naprawdę biała, nic w niej z niepokojów, nic z czerni i czarnowidztwa. Czujemy się wtedy potrzebni, bo jesteśmy naprawdę potrzebni, potrzebni wymiarowi sprawiedliwości, sądowi, praworządności, człowiekowi.

W tej triadzie: sędzia, prokurator, adwokat — mamy swoje niemałe miejsce i musimy je zajmować godnie i z zapalem. My jedni tylko w tej triadzie mamy prawo do stronniczości, ale jest to piękna i twórcza stronniczość. My jedni mamy tylko prawo działać wyłącznie na korzyść oskarżonego.

Nie tu miejsce na dywagacje, gdzie ustanowić należy granice tego działania wyłącznie na korzyść oskarżonego. Myślę, że tych granic w ogóle nie ma, że wytyczają je jedynie obowiązujące nas zasady naszej etyki zawodowej i ogólnoludzkiej

Jest u Jerzego Szaniawskiego w jego świetnym dziele „Adwokat i róża” taka myśl o zapatrzeniu się adwokata w daleki punkt błędzący na horyzoncie życia. Ten punkt jest źródłem światła, które jak reflektor omiata granice adwokackiej wolności i obrończego obowiązku.

Zwolna ustępuje przyspieszone bicie serca. Dziś — nie ma goryczy przegranej, goryczy porażki. Wiemy, muszą być także, będą jutro, pojutrze, ale dziś adwokat triumfuje. Jakieś usta szepną, choćby nieskładnie, słowa podziękii.

Biegną lata, wydłuża się miara czasu i inaczej, odmiennie rysują się nasze własne opinie i oceny. A może, może jednak, ten wyrok, który odczuwamy jako porażkę, jest słuszny? Może jednak sędzia dojrzał rzecz szerszej i głębiej? Może widział nie tylko, tak jak my, oskarżonego? Widział bardziej wyraziście pokrzywdzonego, szkodę dla interesu publicznego i społecznego?

Nie irytujmy się, nie pomstujmy. Rozważmy jeszcze raz swoje racje, a potem... piszmy rewizję złożoną z najlepszych argumentów.

Rozmawiałem niedawno z wybitnym dziennikarzem, literatem i publicystą Aleksandrem Małachowskim. Była to rozmowa przed mikrofonem radia. Zapytał mnie, jak rozstrzygnąć problem, gdy obrońca wie o winie bronionego człowieka, a nie waha się go bronić, domagając się uniewinnienia.

Powiedziałem, że nie ma w ogóle problemu, że przecież właśnie ustawa zobowiązuje nas do działania wyłącznie na korzyść oskarżonego.

— Ale problem moralny, problem sumienia? — nie ustępował Małachowski.

— Nie ma i tego problemu. Prawo jest to tylko minimum moralności. Adwokat jest zobowiązany do tajemnicy zawodowej. Bez prawa do tajemnicy nie ma w ogóle adwokatury. Tak, jest konflikt sumienia. Jest dualizm, czasem głos moralności jest donioślejszy niż głos prawa, ale chwała prawu, które ten konflikt rozstrzyga

zgodnie z zasadami uświęconymi w kodeksach i w ustawie o ustroju naszego niełatwego zawodu.

W tygodniku „Literatura” zamieszczono obszerną rozmowę z wybitnym naszym uczonym drem Tadeuszem Kielanowskim, profesorem Akademii Medycznej w Gdańsku. Prof. Kielanowski jest autorem cennych prac o prawie człowieka do godnej śmierci, do godnego umierania. Jest to jeszcze jedno z wielkich praw człowieka. Kielanowski jest lekarzem-humanistą.

— Czy medycyna dzisiejsza bardzo różni się w podejściu do chorego od medycyny wczorajszej? — zapytuje redaktor Roman Kałuża.

Na to profesor: — Czasem mi się zdaje, że tak, że różni się bardzo. W przeciwieństwie do medycyny dawnej, wyrosłej z pnia humanistyki, medycyna dzisiejsza uważa się za naukę przyrodniczą, opiera się na chemii, fizyce (z elektroniką na czele) i na statystyce matematycznej. Poza tym za swój podstawowy cel uważa zapobieganie chorobom, o ile możliwości w skali społecznej, przywracanie chorym zdrowia, a przynajmniej utrzymanie przy życiu, co jest zadaniem ambitnym, ale nie zawsze dającym się zrealizować.

— A sprawianie ulgi cierpiącym — czyżby przestało już być zadaniem lekarza?

Profesor: W deklaracjach lekarskich jest to stale podkreślane jako obowiązek mniej ważny od przyczynowego leczenia, ale w praktyce nie mieści się już nieraz w gospodarce czasowej zabieganego lekarza.

„Zabiegany lekarz” w ustach prof. Kielanowskiego. „Zagonieni sprawami” — to o nas piórem Edmunda Mazura. Cóż za zdumiewająca i wstrząsająca zarazem zbieżność. My przecież także musimy nieść ulgę choremu na „chorobę społeczną”, tkwiącemu w społecznej patologii, musimy także swoim adwokackim działaniem zapobiegać. Mamy własną profilaktykę.

„(...) ojciec medycyny Hipokrates — mówi profesor — przestrzegał lekarzy, by nie podejmowali się leczenia stanów źle rokujących, bo niepowodzenie przynosi zawsze ujmę temu szlachetnemu zawodowi, obniża w oczach ludzi wartość sztuki. Współcześnie zaś lekarz sądzi praktycznie, że chory, któremu już zdrowia przywrócić nie można, zajmie łóżko szpitalne i uniemożliwi przyjęcie człowieka, którego można wyleczyć i uratować”.

Także konflikt sumienia.

Nasi chorzy są zawsze uleczalni. Miarą ciężkości choroby jest czas kuracji, od roku do lat 15, a nawet lat dwudziestu pięciu.

Wtedy zjawiamy się my, adwokaci, aby złagodzić terapię przywracania do życia społecznego.

Tylko dla nieuleczalnych jest kara, którą staramy się odwrócić za wszelką cenę — kara śmierci.

Nie mogę więcej cytować z niezmiernie interesującej rozmowy. Zajęłoby to zbyt wiele miejsca, a chcę jeszcze przytoczyć także z „Literatury” słowa Jerzego Andrzejewskiego, które pobudzają mnie znów do refleksji bardzo osobistych, zamkniętych w klamrze „Między nami”:

„Ze wszystkich czasów ludzkich egzystencji bodaj młodość zarówno życzliwości i aprobaty spragniona jest najbardziej. Być może dlatego m.in., iż w młodości większą aniżeli w latach późniejszych przykładamy wagę oraz miarę wobec egzystencji własnej, a także w stosunku do swoich osiągnięć i zamierzeń. To dopiero starość poczyna się z samotnością oswajać”.

Zamyśliłem się nad słowami pisarza. I mówiąc naszym językiem — oponuję. Młodość jest pewna siebie. Młodość nie ma wątpliwości. Na naszych salach sądowych — im młodszy, tym pewniejszy siebie i tym mniej ma wątpliwości. Te,

które są, potrafi usunąć zgodnie z art. 3 kodeksu postępowania karnego.

Młodość spragniona jest życzliwości i aprobaty? Nie, młodość ją sobie sama nadaje i zdobywa. Wiek dojrzały stwarza dystans i perspektywę w widzeniu rzeczy i ludzi, zjawisk, w percepcji, w ocenach, sądach i osądach. Wiek dojrzały pogrąża w zadumie.

Miałem zawsze uczucie tremy, gdy powstawałem do przemówienia, i mam je do dziś. Nie mówię tego dla czczej kokieterii. Dystans i perspektywa powinny mnie uwolnić od takiego podejrzania. To nie tylko trema, to lęk płynący ze świadomości roli, jaką mamy w wymiarze sprawiedliwości, jaką powinniśmy mieć, to obawa przed powierzchownością tylko i zewnętrżnością tej roli, to dążenie, aby była w nas, w środku.

„To dopiero starość poczyna się z samotnością oswajać”.

Nie, nie mogę się oswoić z samotnością. Potrzebuję ludzi, ludzkich spraw, choć niekiedy nieludzkich, sali sądowej, choć jest to miejsce jakże posępne. Humor, gdy tam zagości — jest to „czarny humor”.

Bardziej niż kiedykolwiek, bardziej niż w młodości potrzebuję życzliwości, koleżeństwa, akceptacji, nawet uznania. Właśnie życzliwości i przyjaźni młodych. Moich dawnych aplikantów, moich młodszych kolegów — dzisiejszych przyjaciół.

Adwokatura, moja praca w adwokaturze, przyjaźnie w niej zawarte, są strumieniem bijącym ze źródła, w którego lustrze nie przegląda się samotność. To eliksir ani faustowski, ani mefistofelowski. Duszy diabłu nie zaprzedałem. Miara czasu i przemijania jest przecież nieodwracalna. Ta miara stwarza dystans i perspektywę.

RECENZJE

1.

Jerzy Ignatowicz: *Prawo rzeczowe*, PWN, Warszawa 1976

W prawie rzeczowym być może najsilniej z całej cywilistyki zaznaczyły się przemiany społeczno-gospodarcze okresu powojennego w naszym kraju. Można przy tym zaryzykować twierdzenie, że proces stabilizacji tego prawa nie jest jeszcze zakończony i że trwa poszukiwanie adekwatnych form prawnych dla aktualnej i przyszłej rzeczywistości gospodarczej i społecznej. Przykładem tego mogą być wielokrotne zmiany w zakresie form prawnych dysponowania przez państwo na rzecz osób fizycznych terenami pod budownictwo mieszkaniowe. Autor recenzowanej pracy przytacza je na s. 170—172, wymieniając kolejno: prawo

zabudowy, wprowadzone jako instytucja ogólnokrajowa dekretem z dnia 26.X.1945 r.; dzierżawę wieczystą, wprowadzoną dekretem z tej samej daty, mającym za przedmiot regulację własności i użytkowania gruntów na obszarze m. st. Warszawy; własność czasową, ustanowioną prawem rzeczowym w r. 1946; wieczyste użytkowanie w rozumieniu dekretu z dnia 10 grudnia 1952 r. o odstępowaniu przez państwo nieruchomości mienia nierolniczego na cele mieszkaniowe oraz na cele budownictwa indywidualnych domów jednorodzinnych; wreszcie użytkowanie wieczyste, wprowadzone ustawą z dnia 14 lipca 1961 r. o gospodarce terenami